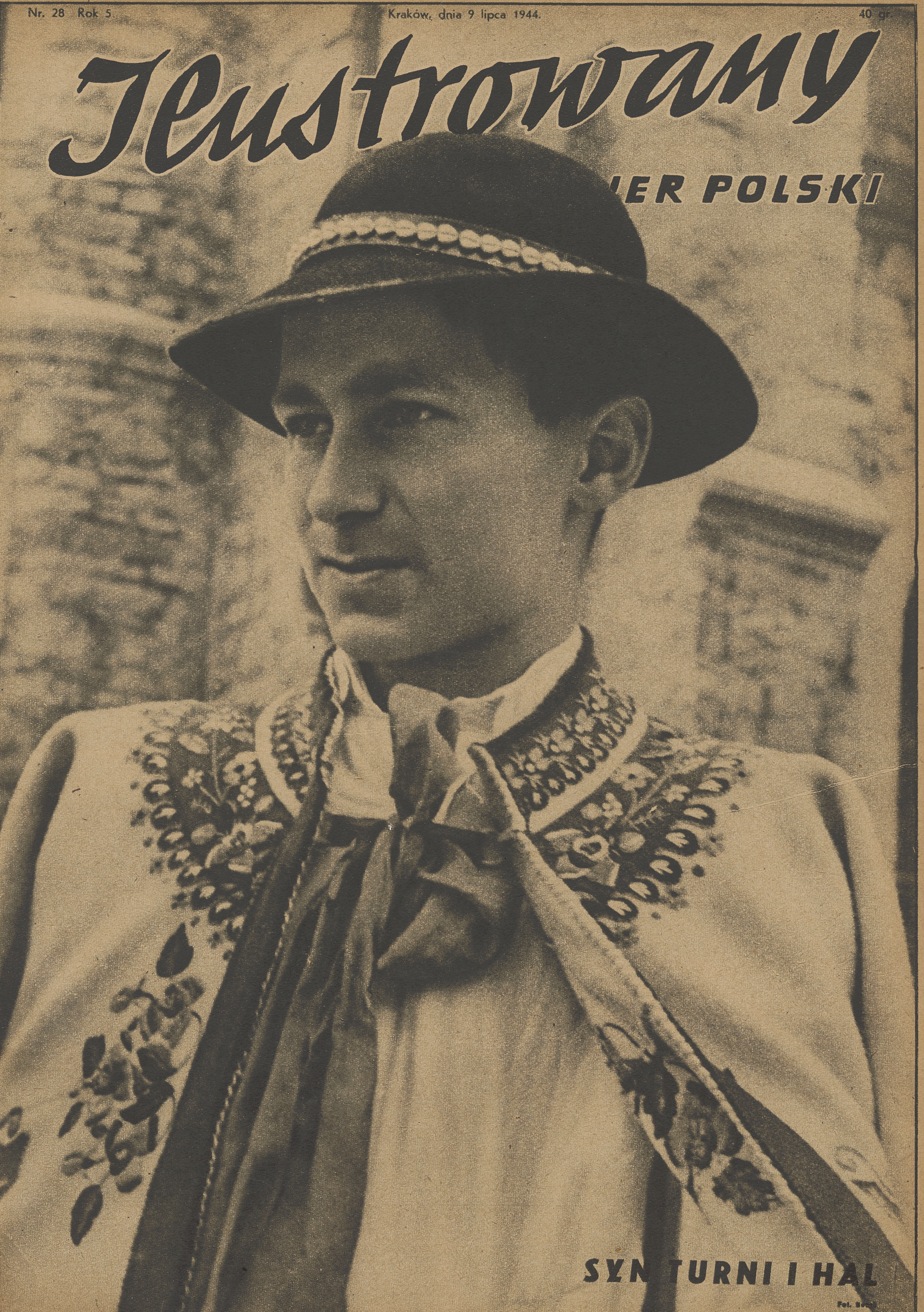
Nr. 28 Rok 5. Kraków, dnia 9 lipca 1944. 40 gr

Ilustrowany Kurier Polski



SYN TURNI I HAL

Fot. [illegible]



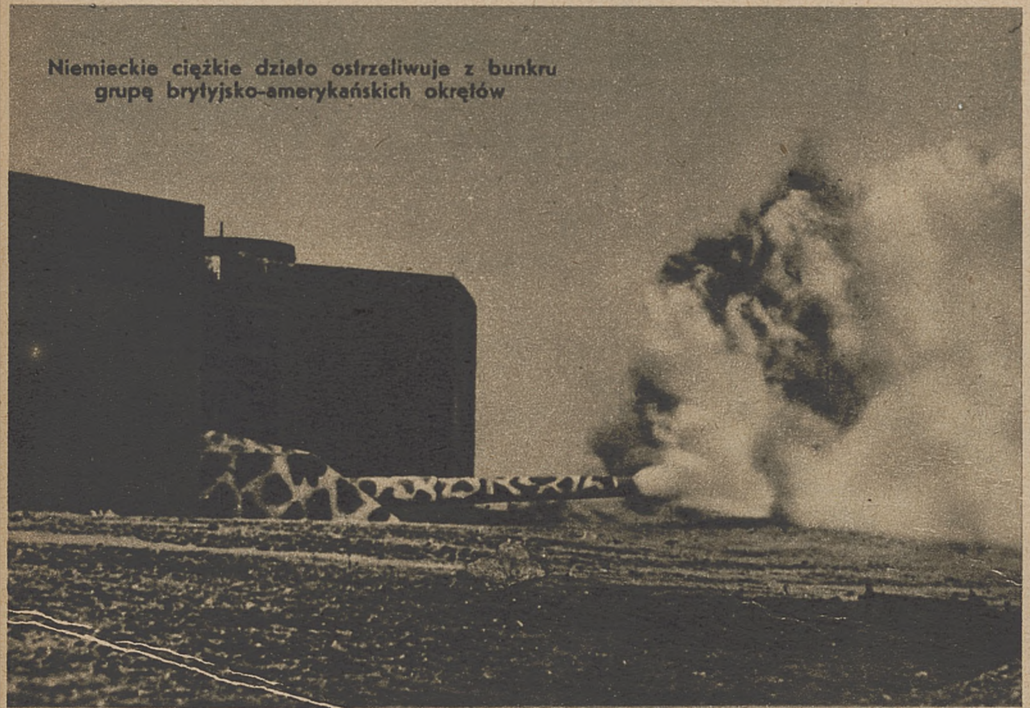
Podczas walk w rejonie Tilly. Niemiecki czołg typu „Pantera" (na prawo) w walce z brytyjskim czołgiem (na lewo), który usiłował osłaniać wycofujące się oddziały brytyjsko-amerykańskie.

Kröncke-Atl, Scherl 2, Transocean.



Oto skutki nalotów bombowców anglo-amerykańskich. Katedra w Falaise uległa całkowitemu zniszczeniu. Bezmyślne te ataki na miasta francuskie przynoszą coraz większe straty wśród wartościowych zabytków kulturalnych, których nigdy więcej nie będzie można odbudować.

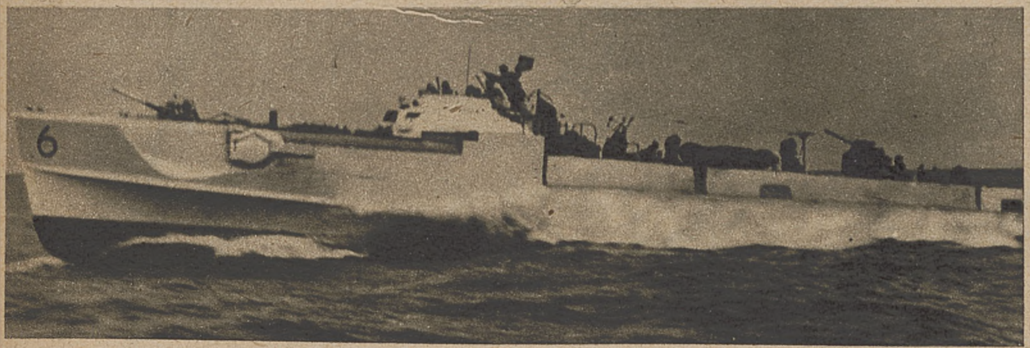
NA WYBRZEŻU KANAŁU



Niemieckie ciężkie działo ostrzeliwuje z bunkru grupę brytyjsko-amerykańskich okrętów



Jedna z wielu brytyjsko-amerykańskich łodzi desantowych, która przy zbliżaniu się ku wybrzeżom Normandii zostaje ostrzeliwana przez niemiecką obronę wybrzeżną.



U góry:

NA ATLANTYKU

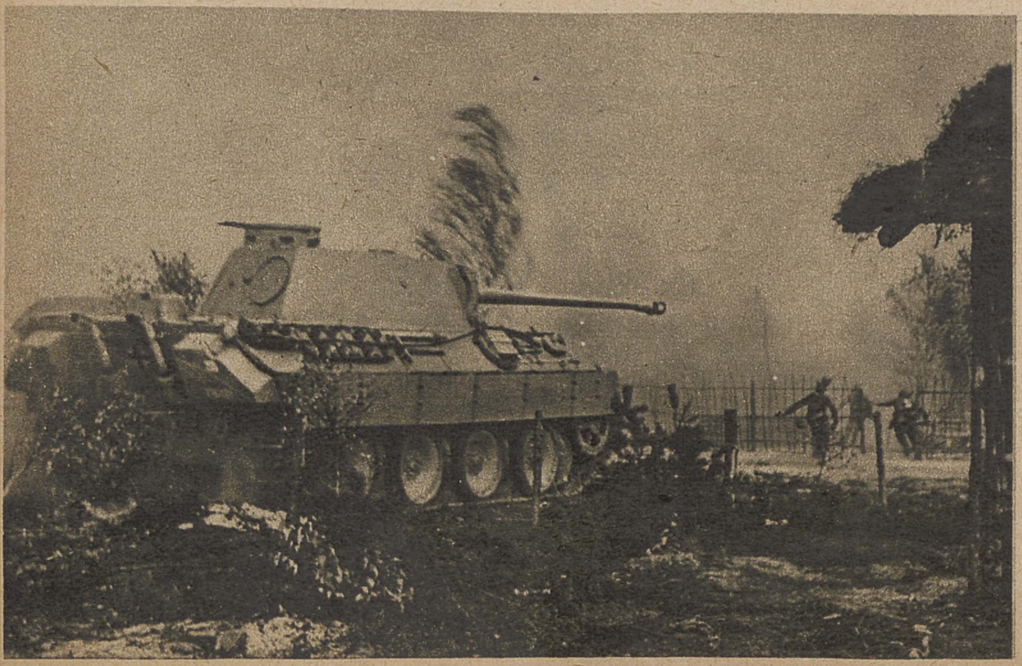
Niemiecka łódź pościgowa w pełnym biegu na oceanie.

Poniżej:

NA FRONCIE WSCHODNIM

Pod ochroną czołgu typu „Pantera" posuwają się niemieccy grenadierzy naprzód ku pozycjom sowieckim.





NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Na północnym wybrzeżu morza Śródziemnego obok wielu umocnień ustawione są również liczne działa ruchome umieszczone na platformach wagonów kolejowych. Mogą one być szybko przerzucane z jednego miejsca na drugie.

U góry: Bateria na ruchomej lawecie.

Na prawo: Jeden z podziemnych bunkrów z amunicją. Na specjalnych wózkach dostarcza się naboje do dział.



Fot. Seiler



HONAN

kluczową pozycją Chin

Ze zdobyciem przez wojska japońskie miejscowości Tschengtschau, ważnego punktu kolejowego licznie zaludnionej prowincji chińskiej, uwaga świata skierowała się naturalnie na zagrożone w dalszym ciągu postępami Japończyków, dotąd zaś nie budzące specjalnych zainteresowań, tereny. Krzyżują się tam ważne linie żelazne, a to jedna biegnąca z północy ku południowi od Hankau do Pekinu, druga o kierunku wschodnio-zachodnim z Lung do Haischau.

W międzyczasie udało się armii japońskiej opanować całą sztrekę z północy na południe, zdobyć stolicę prowincji Honan-Loyang, a wreszcie zacisnąć pętlę wokół prowincyj Schansi oraz Schensi.

Południowa część sił japońskich dotarła równocześnie niemal do wód jeziora Tungting, operacje te nie dadzą jednak w tej chwili przewidzieć całej doniosłości posunięć naczelnej komendy japońskich sił zbrojnych.

Tschungking wysłał okrągły milion żołnierzy, by za wszelką cenę nie dopuścić do tak brawurowego posuwania się Japończyków, niewiele to jednakowoż zdaje się ważyć na szali sukcesów obronnych przeciwników wojsk japońskich.

Można by zaryzykować twierdzenie, że urodzajność gleby i skarby kopalniane Hanan'u skłoniły Japonię do walk i sukcesów w owładnięciu tym krajem. Wprawdzie gospodarczo stanowi Hanan godny wzmianki okręg kopalniano-plantatorski, z łanami pszenicy, kukurydzy, bawełny, tytoniu i maku opiumowego, z minami antracytu, żelaza, spiżu, ołowiu i cyny; co prawda hodowla jedwabnika też nie jest małoznacznym dorobkiem krajowym w dziedzinie uprzemysłowienia tej części Chin — ale Honan posiada przede wszystkim ważne dla Japończyków znaczenie jako kluczowa prowincja Chin w ogóle.

Mierząc miarą europejskich zapatrywiań, Honan nie jest wcale wielką połacią chińskiej ziemi, w stosunku do obszaru tych ostatnich. Ze swymi 175.000 km² kryje niemal sześciokrotnie obszar Belgii, będąc zaludnioną 30.000.000 mieszkańców, z czego, statystycznie biorąc, wypada po 170 ludzi na 1 km². Ziemia jest w stanie samowystarczalnie wyżywić to mrowie ludzkie. Zawdzięcza to Honan nader urodzajnemu lessowi, pokrywającemu jako glinka nawiana prawie cały kraj Honan'u. Charakter kraju jest wybitnie wyżynny, góry wznoszą się tylko po stronie zachodniej. W leżących tu i tam dolinach pośród stromych ścian wąwozów — od niepamiętnych czasów posługuje się wieśniak hanański nader prymitywnymi przedmiotami codziennego użytku. Zbocza wyżynnych płaskowzgórzy dają się niemal nożem „obrabiać",

(ciąg dalszy na str. 10)

HOANGHO — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO HONAN'U

„Złota rzeka", Hoangho, główna arteria życia prowincji Honan, roi się od dżonek i łodzi, tratew i mniejszych statków pasażersko-transportowych. Całymi kilometrami płyną one na fali, niosąc towar i płody kopalniano-ziemne czołowej prowincji Chin.

SZTUKA BUDOWLANA MARKI „HONAN"!

Lessy i glina — oto materiał budowlany tamtejszych stron. Z nich powstają zabudowania mieszkalne, o ile nie „wygrzebie" ich obywatel Honan'u w podatnych ku temu celowi ścianach płaskowzyżu prowincji.





NA HONAŃSKICH POLACH RYŻOWYCH

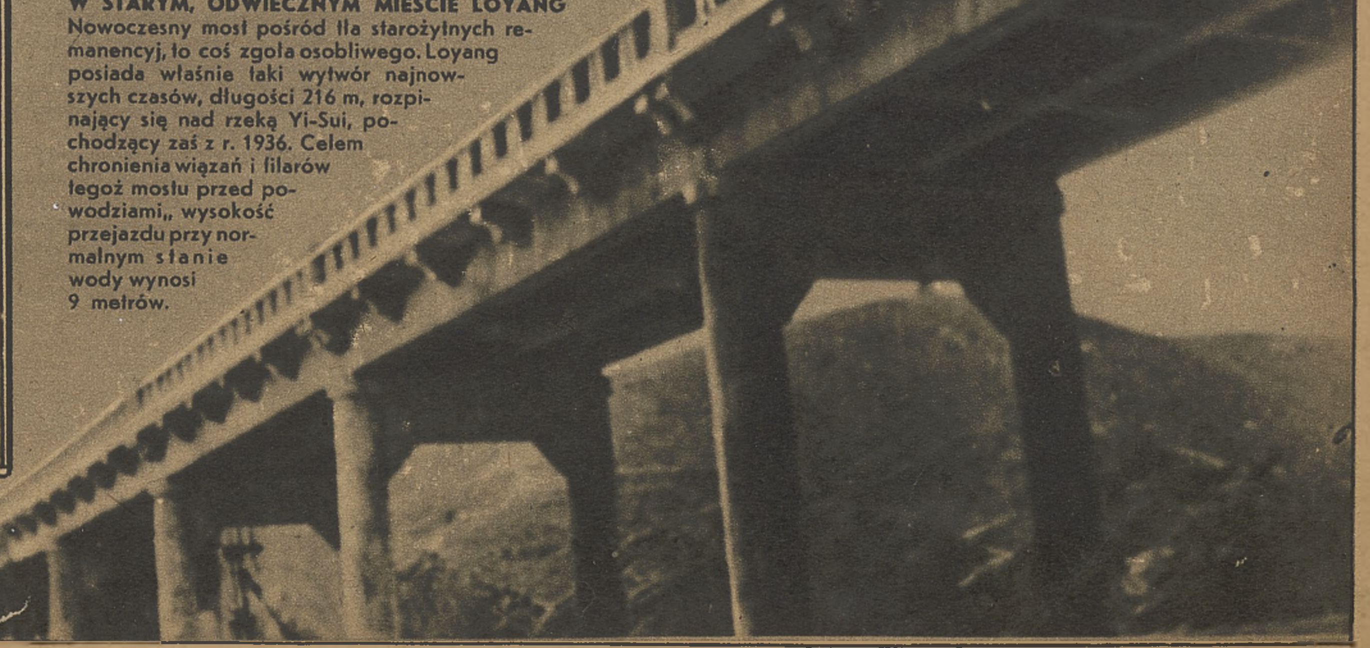
Tylko na południu prowincji Honan udaje się ryż. Uprawa tych pól ryżowych prowadzoną jest w bardzo prymitywny, starodawny sposób. Najistotniejszą część pracy wykonują tamtejsi wieśniacy stając po kolana w mętnej, błotnistej wodzie, na której wzrasta ryż.



Fot. Seiler

PRYMITYWNA „MASZYNA MELIORACYJNA"

Znaczna przepuszczalność gleby w Honan umożliwia łatwe nawadnianie terenu. Stosuje się wobec takiego stanu rzeczy łopatkowe koła poruszane pracą nóg, znakomicie spełniających rolę moto-pomp i kompresorów wodnych.



W STARYM, ODWIECZNYM MIEŚCIE LOYANG

Nowoczesny most pośród tła starożytnych remanencyj, to coś zgoła osobliwego. Loyang posiada właśnie taki wytwór najnowszych czasów, długości 216 m, rozpinający się nad rzeką Yi-Sui, pochodzący zaś z r. 1936. Celem chronienia wiązań i filarów tegoż mostu przed powodziami,, wysokość przejazdu przy normalnym stanie wody wynosi 9 metrów.

ARTIFICES ECCLESIAE





Powyżej:
Bryła kamienna czy marmurowa musi najpierw nabrać z grubsza ogólnych zarysów mającego z niej powstać posągu czy statuy. Mistrz Edelhart z pomocą dłuta poruszanego sprężonym powietrzem obrabia powierzchownie surowiec, później dopiero nadejdzie artystyczna praca ręki.



Powyżej:
Punkt po punkcie przenosi się wymiary lwiej rzeźby z modelu na marmur. Wkrótce gotowe dzieło opuści progi pracowni rzeźbiarskiej — by znaleźć się w wyznaczonym sobie miejscu ku sławie mistrza.

Na lewo:
Niekiedy potrzeba jakąś partię budowli poddać gruntownym zabiegom budowlanym, by uchronić je od grożącego upadku. W pracowni kreślarskiej opracowuje się plany podpór i filarów pomocniczych — a cyrkiel i ekierka mają wówczas dużo do powiedzenia o swej przydatności.

Poniżej:
Renesansowe schody katedry ulegają procesowi odnowienia. W zwinnych i kwalifikowanych dłoniach rzemieślnika-artysty zakwitną znowu dawnym pięknem, jakie nadal czarować będzie oko przez dalszy okres dziejów słynnej katedry.



Młodociany rzeźbiarz nad odtworzeniem popiersia kamiennego, dzieła dawno minionej epoki. Praca to żmudna ale piękna i pożyteczna, dająca pełne zadowolenie młodemu talentowi.

Budowa kościołów katedralnych nie jest trudem obliczonym na z góry przewidziany okres czasu, obejmujący miesiące czy lata. Znanymi są wypadki długotrwałego ciągnięcia się pracy powstawania takiego Domu Bożego — a lat dziesiątki, setki nawet, są tutaj miarą ogromu włożonych starań twórczych. Biorąc pod uwagę taki stan rzeczy nie można się dziwić, gdy wokół lub nieopodal Katedry jakiejś mamy do zaobserwowania niby kolonię robotniczych domków, niekiedy bardzo starych, różne pamiętających dzieje, potrzebnych i dzisiaj jeszcze w pewnej mierze i cel niejako strażnic całości Katedry spełniających. Konserwacja poszczególnych części monumentalnej budowli, renowacja wnętrza czy ochrona przed wpływem czasu całości — wymaga przecież ciągłego i bacznego nadzoru, powiedzmy nawet stałego pogotowia budowlano-rekonstrukcyjnego. W domkach takich mieściły się też od najdawniejszych czasów pracownie sztuki kościelnej, będąc siedzibami sławnych mistrzów dłuta i pędzla — zaciekle nawet broniących przed oczyma niepowołanych, tajemnic swego kunsztu. Były to jak gdyby zakłady naukowe, kształcące narybek artystyczny, poświęcający się pracom kamieniarsko-rzeźbiarskim, gipsowo-modelarskim, złotniczo-zdobniczym, sztukateryjnym itp. Domki owe podlegały specjalnemu prawodawstwu cechowemu jako dbające o rozwój rzemiosła artystycznego i wykształcenie wysoko kwalifikowanych mistrzów rzemieślniczych wytwórczości kościelno-artystycznej. Wzorem dla wszystkich podobnych domków-pracowni stały się w XII wieku strassburgskie warsztaty rzemieślnicze związane z tamtejszą Katedrą, których prawa i przywileje pochodzące w zbiorowym ujęciu z roku 1459 są do dzisiaj znanymi. Do dnia dzisiejszego wydają te sławne pracownie strassburgskiej sztuki kościelnej nie byle jakich mistrzów poszczególnych fachów, do dziś dnia kultywowaną jest tamże stara forma w pewnych dziedzinach wspaniale postawionej ornamentastyki i cyzelerstwa kościelnego. Tutaj uczy się doświadczeniem wieków wydoskonalonej obróbki kamieni do arcydzieł ciosowych i dłutowych, niezbędnych do utrzymywania w stanie świeżości i bezpieczeństwa wielkiej, na cały świat słynnej Katedry.



Na lewo:
Dwa lwy to też artystyczne zadanie pracowni rzeźbiarskiej. Po tym, na wolnej przestrzeni, uwydatni się dopiero piękno rzeźby powstałej w czterech ścianach sanktuarium artysty.



Na prawo:
Rzućmy okiem na zajętego rzeźbieniem grupy Edelhart'a. Grupa ta ma być umieszczoną w jednym z kościołów w Norymberdze i powinna być możliwie terminowo ukończoną w związku z restauracją nawy wzmiankowanej świątyni.







Na lewo:
Gzyms, jako ozdobny element stromo spadającego dachu po stronie północnowschodniej świątyni — musi być z należytym artyzmem wykończonym.

Na prawo:
Jak najwierniej trzymając się wzoru starych mistrzów — zostają odrestaurowanymi różne części budowlane pamiętającej stulecia katedry. Że trud to nielada, wystarczy spojrzeć na gotowe już prace renowatorskie, zalegające pracownie artystów.

Fot. Eurofot

W związku z omawianiem sztuki kościelno-budowlanej i rzeźbiarsko-artystycznej nie będzie od rzeczy wspomnieć o marmurze, jako materiale stojącym na pierwszym miejscu w pracowniach — kędy powstają posągi, kolumny i wytwory architektoniczno-dekoracyjne.

Salzburgskie marmury dawno zażywają w tym względzie słusznego uznania, i to nie tylko w samych Niemczech. Wiele krajów zawdzięcza swe wspaniałe budowle kościelne i publiczne właśnie marmurowym złomom salzburgskim.

Istotnie podziwiać trzeba zwłaszcza pomniki i statuy marmurowe, arcydzieła wielkich twórców, szlachetne koncepcją i tak okazałe w wyglądzie.

Wieluż to znamienitych rzeźbiarzy przerzuciło się z rzeźby drzewnej na marmur, śladem znanego znakomitego rzeźbiarza z Salzburga, Adelhardt'a, który z umiłowaniem jął w końcu w dłonie swój rodzimy, salzburgski kamień — marmur.

Twórczość tego artysty, tak wspaniale zakwitła w rzeźbach z drzewa, ugruntowała swój wyraz i polot w nieskazitelnej gładkości marmuru, w kamieniu godnym zdobienia arcydzieł ducha i geniuszu ludzkiego, wznoszonych ku chwale Tego, co króluje nade wszystkim i wszystkim włada.

Marmurowa sztuka kościelna podniosła urok i powagę miejsc świętych, dodała czaru nawom i ołtarzom świątyń i katedr. Twardy, piękny, lśniący marmur w budownictwie i sztuce kościelnej — to niby symbol surowości dróg życia, twardej wędrówki do krainy blasków i wieczystego piękna — nagrody i zapłaty za ścieżki doli — znaczonej ludzkości wyrokami Opatrzności.



Poniżej: **NAJWAŻNIEJSZY MOMENT NADCHODZI...**
Za chwileczkę wyrzucona z dłoni gracza metalowa kula legnie u celu. Bodaj tylko udało się ją rzucić jaknajbliżej drewnianej kuli, będącym ośrodkiem zainteresowań wszystkich.



TEN JEDEN



U góry:
KTÓŻ NIE PRZYPATRZYŁ-BY SIĘ CHĘTNIE!
W dnie świąteczne otacza się zazwyczaj nie wysokim ogrodzeniem miejsce zawodów. Liczni przygodni widzowie podziwiają w spiekocie słonecznej przebieg gry, biorąc często-gęsto osobisty następnie w niej udział.

WAŻĄ SIĘ LOSY WSPÓŁZAWODNIKÓW...
W centymetrach wymierzone poszczególne odległości kul od „celu", dadzą miano mistrza jednemu z pośród grających. Kto nim zostanie, jeszcze nie wiadomo...

Fot: Wöhr

O jakiejkolwiek tylko porze dnia szedłby ktoś przez jedno z małych miasteczek południowo-francuskich — zawsze napotkałby mężczyzn w rozmaitym wieku, zabawiających się ulubioną grą tamtych stron, kulami metalowymi rzucanymi do celu. Zasadniczo nie widzielibyśmy nic osobliwego w takiej grze, mającej jakoby coś wspólnego w pochodzeniu z dawniej ogromnie popularnym krokietem, wziętym kolosalnie swego czasu „sportem" kręglowym czy też z grami opierającymi się w ogóle na posługiwaniu się kulami, przeważnie mającymi miejsce na wolnym powietrzu — gdyby nie to, że cel, do którego rzucane są kule, stanowi również kula! Kula to drewniana, wyrzucana przez pierwszego z pośród grających na szacowaną zwykle wzrokowo odległość 25 do 30 metrów. Pozostali współzawodnicy usiłują swymi metalowymi kulami dosięgnąć jaknajcelniej tamtej, drewnianej, by zyskać w końcowym obrachunku i pomiarze miano zwycięzcy. A sprawa to nie taka znowu całkiem łatwa. Kto ma oko dobrze wyćwiczone w ocenianiu przestrzeni i pewny „zamach" ramienia — temu oczywiście udaje się najlepiej rzucić swą kulę na miejsce zbliżone położeniem do punktu zajmowanego przez kulę drewnianą. Zwycięzcy przysługuje prawo podjęcia z ziemi drewnianej kuli, rzucenia jej na nowy punkt i zabawa zaczyna się od nowa. Rewelacją bywa rzut metalową kulą, powodujący „wybicie" kuli drewnianej z jej stanowiska.

CELNY RZUT



Powyżej:
MALEŃKA DRZEMKA ZUPEŁNIE DOPUSZCZALNA
Nie jest to brakiem towarzyskiego obycia ani nie obraża absolutnie „barw klubu". Rozleniwiające działanie słońca tłumaczy aż nadto senną postawę tego poczciwca, mimowolnie „tracącego" senzacyjne wrażenia z rozgrywek o tytuł zwycięzcy.

Na prawo:
TRENING DZIAŁAĆ MOŻE CUDA!
By uzyskać należytą wprawę w rzucaniu metalową kulą — stosuje się płasko rozciągniętą tarczę strzelniczą, znakomicie spełniającą swe zadanie treningowe.

Plan

Napisała: Lena-Len

I.

Z okna mojego biura na drugim piętrze patrzę codzień na ulicę. Przykuwa mnie wyraźnym rysunkiem białego chodnika, może kasztanami, które kwitną ... Jezdnię przemierzają stale mężczyźni, kobiety, dzieci. Rzut oka — ulica żyje. Drga oddechami przechodniów, bruk uciskany stopami, tętni. Dźwięcznie uderzają odgłosy zdań, uchwycone w przelocie. Przedziwna symfonia tonów, oddechów i kroków.

Naprzeciw budują dom. Dom rośnie. Z uwagą śledzę codzień pracę robotników. Blask słońca pada na czerwone cegły. Sprawnie, symetrycznie układają je obok siebie młodzi murarze. W szybkim tempie budowa postępuje naprzód. Codziennie o 12-tej w południe przyjeżdża niewielkim samochodem młody mężczyzna. Pochylony nad planem daje wskazówki budowniczemu. Poznaję go z daleka po sylwetce i spokojnych ruchach. Przyzwyczaiłam się już do sportowego ubrania, kaszkietu i miłej twarzy w okularach. Śmieję się często z siebie. Jestem dorosła, mam 23 lata, a zachowuję się jak pensjonarka. Czasem np. chciałabym zobaczyć jego oczy. Nosi okulary, więc barwy dostrzec nie mogę, ale chwilami mam ochotę spłatać mu figla. Skorzystać z nieobecności szefa, posłać woźnego na dół, poprosić pana inżyniera na górę i zamówić plan domu, który pragnę wybudować dla siebie.

II.

Dzisiaj słońce śmiało się do mnie zza okna. Maj igrał kaskadą barw złoto-zielonych. Roztańczyła się wiosenna ulica w odbiciu mojej szyby. O 12-tej nie było szefa i posłałam woźnego na dół z listem. Z okna obserwowałam inżyniera — żałowałam, że pozwoliłam sobie na żart, ale było za późno. Woźny wrócił sam z wizytówką. Przeczytałam: „Łaskawa Pani! W godzinach pracy przyjść nie mogę, zadzwonię o drugiej. Popołudniu jestem do dyspozycji Pani."

Policzki paliły, zdawało mi się, że jestem w szkole i otrzymałam stopień niedostateczny. Po chwili dopiero spojrzałam jeszcze raz na wizytówkę. Inż. Jerzy Wolina.

Punktualnie o drugiej usłyszałam dzwonek. Zgłosiłam się jak zwykle 555-55.

— Dzień dobry! Czy pani Halina Czakówna? Tu Wolina.

Miał miękki, niski głos. Ile razy dziennie zgłaszam się tak samo! Ile razy wsłuchuję się w różne głosy. Niektóre lubię, inne są mi obojętne. Prawie nikogo z tych, którzy dzwonią do mnie, nie znam.

Jego głosu słuchałam z przyjemnością. Pytał, czy zależy mi na szybkim wykonaniu planu, bo jest bardzo zajęty i ma cały szereg zamówień. Mówił bardzo poważnie, ale może to właśnie wprawiło mnie w dobry humor.

Śmiało brnęłam dalej.

— Oczywiście, bardzo proszę jak najszybciej. Zależy mi na panu.

To jedno było prawdą, ale tego nie wypowiedziałam głośno.

Z kolei usłyszałam zapytanie:

— Czy mogłaby pani wskazać mi parcelę? To ułatwi i przyspieszy wykonanie planu. — I nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej. — Mógłbym podjechać swoim samochodem chociażby i dziś, obejrzelibyśmy dokładnie miejsce przyszłej budowy i pani przy tej sposobności dałaby mi wskazówki. Zgoda?

Z trudem zdobyłam się na odpowiedź.

— Dobrze. Czekam o 6-tej u siebie w biurze, adres pan zna.

— A może ojciec pani chce ze mną porozmawiać?

— Nie — odpowiedziałam. — Do widzenia.

Z ulgą odłożyłam słuchawkę.

Co dalej? Pomyślałam. Szef i ja mieliśmy te same nazwiska. Już niejednokrotnie nieznajomi przypuszczali, że jestem jego córką, tym bardziej, że istotnie jego córka starsza ode mnie o dwa lata stale mieszkała zagranicą, a ten fakt nie był powszechnie znany. Dotychczas zawsze wyprowadzałam wszystkich z błędu i oświadczałam, że z osobą szefa nie mam nic wspólnego, posadę objęłam niedawno, a to samo nazwisko jest tylko dziwnym zbiegiem okoliczności. Dzisiaj po raz pierwszy na wzmiankę o ojcu nie zareagowałam.

Na moim zegarku jest piąta. W biurze jestem sama. Telefon umilkł, po godzinach urzędowych panuje cisza. Piszę te słowa w zeszyciku, przeznaczonym na koncepty listów. Bezwiednie w pierwszym dniu objęcia mojej pracy tutaj zaczęłam pisać pamiętnik — pamiętnik szarych dni sekretarki. Codziennie kreślę parę słów, może dlatego, że jestem prawie stale sama. Szef wyjeżdża często, ja załatwiam tylko korespondencję i telefony, a fabryka mieści się na peryferiach miasta. Pracuję dwa miesiące. Początkowo oszałamiała mnie stolica, której przedtem nie znałam. Śródmieście przerażało niespokojnym nurtem samochodów, tylko ciche dzwonki tramwaju przerywały szum — i przypominały góry. O tej porze, na wiosnę górale wyprowadzali owieczki na hale, każda owieczka miała dzwoneczek ... Znowu wracają wspomnienia niezmienne, nieubłagane, snujące się codzień, otulają gęstą siecią. Wkradną się wizją w źrenice musną czoło pocałunkiem ...

Halina przestała pisać. Oparła jasną główkę na biurku. Wolno płyną łzy. Młodość jest dziwna. Przed godziną wesoła dziewczyna spłatała figla, radośnie spogląda przez otwarte okno, znanym uśmiechem urzędniczki odpowiadała na pytania klientów ...

W tej chwili nie jest sekretarką poważnej firmy. Jak mała dziewczynka skuliła się na fotelu i płacze.

Halina Czakówna przeżyła tragedię. Ojciec, poważny lekarz w Zakopanem, właściciel willi uległ nieszczęśliwemu wypadkowi w Tatrach. Stoczył się po stromym zboczu w przepaść i zwłok jego nie odnaleziono. Matka z rozpaczy rozchorowała się ciężko na serce i w parę miesięcy potem umarła. 18-letnia Halina została sama. Dwa miesiące po ukończeniu gimnazjum przyjaciel ojca, jej opiekun sprzedał willę, ale po pokryciu kosztów choroby matki pozostało niewiele. W gimnazjum marzyła o tym, że będzie studiować architekturę, ale niestety warunki materialne nie pozwoliły jej na to. Objęła posadę sekretarki nadleśnictwa w górach. Cztery lata pracowała w leśnym ustroniu, z dala od miasta i ludzi. Było jej napozór dobrze. Dopiero przed kilkoma miesiącami zatęskniła za miastem, ludźmi. Obudziła się młodość. Poprosiła o zwolnienie z nadleśnictwa i skorzystała z oferty firmy warszawskiej.

Ładna, młodziutka dziewczyna, blondynka gładko uczesana o dużych, ciemnych oczach przykuwała uwagę wielu. W uśmiechu, który rzadko pojawiał się na twarzy ukazywała rząd równych zębów. Maleńka, zgrabna, posiadała niezaprzeczony urok tylko powaga, ujawniająca się w ciemnych oczach, tworzyła zaporę pomiędzy nią a ludźmi. Mówiono, że lubi być samotna, zarzucano jej dumę — ona była smutna — ale smutku nie uznaje nikt. Jak to się stało Halinko, że zamówiłaś plan u inżyniera?

III.

Uczniowski uśmiech błąkał się na ustach, gdy wsiadała do samochodu. Przypomniała sobie ostatnią niedzielę. Szła wilanowską drogą. Popołudniu jak zwykle udała się na długą, samotną przechadzkę. Z rozkoszą wchłaniała czyste powietrze ogrodów i zaczynających się pól. Zboczyła nieco i utkwił jej w pamięci niewielki placyk, położony nieco na wzgórzu. Dookoła rosły drzewa. Usiadła w cieniu jednego z nich. Z dala od gwaru miasta mogła marzyć. Teraz przypomina sobie tę chwilę. Dziwnie skojarza ją z obecną. Może tamta niedziela podświadomie wpłynęła na jej zainteresowanie się inżynierem? Teraz podała mu właśnie kierunek: droga do Wilanowa.

Jadą w milczeniu. Wolina jest dobrym kierowcą. Od czasu do czasu Wolina podchwytuje spojrzenie. Halina już wie, że inżynier ma niebieskie oczy, ocienione ciemnymi rzęsami. Dziewczyna patrzy w lusterko, umieszczone naprzeciw. Widzi dokładnie parę zmarszczek na czole. Znowu podchwytuje spojrzenie. Oczy spotkały się w lustrze. Instynktownie odwrócili głowy.

— Tu skręcimy — przerywa ciszę Halina. Samochód podjeżdża na wzgórze. Staje. Wysiadają oboje.

— Może mi pani podać, wiele m^2 ma parcela — pyta inżynier.

Tego pytania Halina się nie spodziewała, ale odpowiada szybko: — Przyznam się, że nie wiem, to chyba jednak nie ma znaczenia. O! mniej więcej mogę wytoczyć granice. Ufa mi pan, panie inżynierze? — Uśmiechnęła się i Wolina odpowiedział uśmiechem.

— Może usiądziemy — tu na ściętych pniach — rzuciła.— Proszę spojrzeć! Słońce szuka nas stale, a my stoimy w cieniu.

Inżynier oparł się o drzewo, a Halina usiadła i mówiła dalej.

— Błąka się słońce samotne po stolicy, rzuca promienie wszystkim, ale miasto nie patrzy na nie. Kłębi się, tętni, drga, w szarzyźnie zatraca blask.

Z rosnącym zainteresowaniem przyglądał się młody inżynier Halinie.

— Tutaj słońce jest blisko. Układa kwiaty na liściach z promyków — zapomina się, że przyszło na krótko, że zniknie o zachodzie ... Czy wróci niewiadomo — czy wróci dla mnie? — Ostatnie słowa wypowiedziała jakby do siebie.

Inżynier miał ochotę spytać dziewczynę o dzieciństwo. Bliską mu się wydała ta nowa znajoma.

POŻEGNANIE

Odchodzisz nam Ojcze! w tęsknoty zachłannej męce —
Wznosisz się wyżej lotem marzeń tych ludzi...
Artyzm swej duszy nie objawisz faktem więcej
Choć niejedno serce zapragnie Cię zbudzić.

Ostatnia Ci z góry, z pod dziesięciu smyczków, płynie
Melodia cudna — najwznioślejsza elegia: „Pożegnanie"
Mozart pieśń swą rzewną w sercach zbolałych rozwinie
Zrazu cichą ...jak tchnienie; dyskretne kochanie —
Zwolna wzmocni znów ton, co w głośny płacz przechodzi
Aż wreszcie się rozdzierającym jękiem odzywa...
Potęga tej pieśni zda się życie Twe rodzi...
To znów zwątpienie łzą się rozpływa...

Z pieśni tej płynie smutek niezmierny, lecz spokojny,
Bo ta boska melodia nie jest głosem szalonej rozpaczy...
Ni gniewu Bożego i pomsty znojnej........
Jak „dies irae", co beznadziejnym kirem znaczy —
Ta nuta nadziei dźwięczy i ciche łzy łagodzi
I pieśń, gorzką skargą we łzach, zaczęta,
W hymn uniesień najwyższej pociechy przechodzi...
W mistycznej miłości rapsodia święta.

Cześć Ci Ojcze należną oddano w tej pieśni;
Ja z serca ostatnie słowo też pragnę złożyć:
„Coś Ty ukochał — to się we mnie prześni
I zapłodni atomy nieskończoności —
Bo kochać — to tworzyć".

FR. KORZENIOWSKA

— Pani jest młoda, słońca na świecie jest dużo i nie szczędzi ciepła, czasem odchodzi — by wrócić — rzekł.

Z przyjemnością wpatrywał się w dziecinną, okrągłą buzię. Podobała mu się prosta sukienka w kwiaty i pantofle na płaskim obcasie. Milczeli chwilę.

Halina przerwała ciszę.

— Pomyśleć! Kiedyś na tym skrawku ziemi stanie willa — biała, jasna, słoneczna. Przez duże, weneckie okna wpadać będzie codzień słońce.

— Dla pani — dorzucił Wolina.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę: — Zgoda!

Uchwycił małą dłoń i zatrzymał w swojej sekundę.

Słońce gasło. Halina spojrzała na zegarek.

— Ósma, wracamy!

W drodze powrotnej rozmawiali bez przerwy. Inżynier wypytywał fachowo o szczegóły, dotyczące planu. Przyrzekł zadzwonić za kilka dni.

IV.

Wolina siedzi w gabinecie. Rysuje plan. Szybko, sprawnie rzuca linie na duży, biały arkusz. Przerwał pracę. Usiadł wygodniej, oparł się. Za oknem skrzyły się gwiazdy. Mleczny, okrągły księżyc miał grymas na obliczu. W letnie noce drwił najniemiłosierniej.

Inżynier myślał o Halinie. Miłe wrażenie wywarła na nim młoda dziewczyna, zainteresował się nią nie na żarty. Znali się od sześciu tygodni, kilka razy odbyli przechadzki pieszo, autem, raz spotkali się w teatrze. Wyczuwał subtelnie, że przeżyła wiele, ale nie pytał o nic. Skoro Halina nie mówiła ...

Mrok nocy urzeka. Wróciło wspomnienie sprzed sześciu tygodni. Wzgórze, drzewa, Halina, siedząca na pniu. Zdawało mu się, że dźwięczą słowa: — Kiedyś na tym skrawku ziemi stanie willa biała, jasna, słoneczna. Przez duże, weneckie okna wpadać będzie codzień słońce.

W wyobraźni zobaczył jej wymarzony dom. Cieszył się, że to marzenie dziewczyny spełni się na pewno.

V.

Dzwoni telefon. Maleńki, czarny aparacik melduje posłusznie, że ktoś czeka, chce mówić — szybko, natychmiast. Ostry, nieubłagany dźwięk przerywa ciszę. Inżynier podnosi słuchawkę. Zgłasza się. Nagle oczy rozbłysły. Halina!

— Panna Halina! Tak się cieszę, że pani zadzwoniła — mówi.

— Naprawdę? Cieszy się pan, panie inżynierze?

Z kolei Wolina się oburza.

— Znowu panie inżynierze, tylko proszę bez tytułu. Czy plan jest najważniejszy? Bo dla mnie — nie! A pani jak sądzi?

Z napięciem oczekiwał jej słów.

— Panie Jurku! O planie pomówimy kiedy indziej. Dzisiaj chciałam się tylko pożegnać. Wyjeżdżam.

Wolina posmutniał. Zmarszczył brwi.

— Kiedy? — zapytał. — Na długo?

— Dzisiaj w nocy udaję się do Paryża. Zastępca szefa wyjeżdża z polecenia zarządu i mnie zabiera z sobą. Dziś rano jeszcze przypuszczano, że pojedzie jego pomoc biurowa, ale ta zachorowała i teraz właśnie przyniesiono mi paszport na moje nazwisko.

Inżynier milczał. Trudno mu było wierzyć. Halina mówiła dalej.

— Przypuszczalnie zostanę tam sześć miesięcy. — Przerwała.

Po minucie usłyszał pytanie. — Panie Jurku! Czemu pan nic nie mówi? Myślałam, że ucieszy się pan wiadomością o moim wyjeździe. Wspominał pan często, że jak chochlik wdarłam się w codzienne godziny i wokół pana rozbrzmiewa piosenka mojej młodości. Wiem doskonale, że inżynierom piosenki przeszkadzają. — Roześmiała się dźwięcznie, ale teraz on się odezwał.

— Pani żartuje, figlarnie buduje pani zdania i zapomina o tym, że często na chochlika się czeka, że często tęskni się za piosenką raz usłyszaną ...

VI.

Wiatr pędzi jak opętany naprzód. Chuchnie prochem ulicy w oczy przechodniów, rozwieje kunsztowne loczki eleganckich pań, fiknie kozła na czyjejś głowie i kapelusz ze strachu spada. — Dziki jak kilkunastoletni chłopak goni po jezdni. Dmuchnie ciepłem — krzyczy na cały głos — W i o s n a — potem zrywa się szalony, rzuca parę płatków śniegu i woła— Prima aprilis.

Dziecinny wiatr! Myśli inżynier Wolina. Przed chwilą wrócił z budowy. Na twarzy maluje się zmęczenie. Od szeregu tygodni nie śpi i nie je regularnie. Powierzono mu kilka ważnych prac, budowa jest terminowa i wymaga większego wysiłku. Z ulgą myśli o tym, że jeszcze dwa miesiące i pojedzie na urlop. Należy mu się odpoczynek.

Nagle wzrok jego pada na dużą, białą kopertę. Leży na biurku. Teraz dopiero ją zauważył. Widocznie matka odebrała pocztę wcześniej niż zwykle.

List od Haliny. Czyta.

„Znowu wiosna. Dziesięć miesięcy jestem w Paryżu. Przyzwyczaiłam się do bardzo monotonnej pracy. Piszę codziennie urzędowe listy, zliczam długie kolumny cyfr. Wtłoczona w wir biura zapominam, że dokoła mnie wre życie. Patrzę na arkusiki maszynowego papieru i myślę o tym, że stale wypełniam je jednakowo. Wytężam umysł, staram się pracować sumiennie, ale razi mnie szablon. Moja praca nie ma w sobie życia.

Kiedyś chciałam studiować architekturę. O zmroku patrzyłam na sine góry i jako dziecko marzyłam. Z maleńkich domków powstaną większe — wspaniałe, ogromne gmachy. Piętrzyć się będą dumne ...

Panie Jurku! Wraca wspomnienie dawne, choć wcale nie chcę wspominać. Mijają dnie obok mnie — obce. Wabią codzień innym świtem, ukazują godziny w nowych, jaskrawych barwach. — Ludzi uśmiechem nowo spotkana twarz i rozchylone wargi. — Czeka się — czeka — i — nie umiałam tęsknić do ... dziś.

Popołudniu wkradła się do mnie wiosna i szepnęła, że daleko ktoś rysuje plany. Miałam ochotę usiąść obok pana w aucie i jeszcze raz urządzić przejażdżkę po budowach. Pamięta pan? Rosną na fundamentach, codzień jest ich więcej. Pan nie musi marzyć. Ten, kto pracuje twórczo czeka na rozkwit. Martwym kamieniom nadaje rytm, duszę.

Gdy pierwszy raz zobaczyłam Pana z okna mojego biura zrozumiałam, że czyjeś życie opromieniło moją monotonię. I wkradły się plany Pana w jednostajne dni moje. Tęsknię. Jestem sama. Chciałabym Panu opisać dzieciństwo i wiosny, które minęły. Chciałabym, Panie Jurku, odpowiedzieć na wszystkie pytania zawarte w listach do mnie — w listach, na które czekam ...

Za tydzień przyjeżdżam ...

VII.

Inżynier Jerzy Wolina prowadzi samochód. Jedzie szybko. Spieszy się, bo chce jeszcze przed mrokiem zdążyć, oglądnąć wykończony dom. Zbacza z wilanowskiej drogi — staje. Na wzgórzu ocienionym drzewami wznosi się jasna, nowoczesna willa. Wzgórze Haliny — myśli. Rok temu był tutaj pierwszy raz. Od tego czasu zmieniło się wiele.

W jednym z pierwszych listów z Paryża, Halina doniosła mu, że plac na wzgórzu nie jest jej własnością i „to był tylko żart", który kiedyś wyjaśni. Prosiła go wtedy o podanie wysokości honorarium za wykonanie planu, ale Wolina odmówił. Może się przyda — odpisał.

Z łatwością udało mu się zakupić parcelę. Wiedział o jakim domu marzy Halina i wybudował zgodnie z jej wskazówkami. Teraz spogląda na swoje dzieło. Przez duże weneckie okna wpada słońce, oszklone werandy lśnią ...

VIII.

Zaróżowiona, uśmiechnięta Halina wsiadała do samochodu.

— Dziś ja prowadzę — oznajmił na samym wstępie inżynier. Dokazywali jak małe dzieci, śmiali się głośno i żartowali bez przerwy. Dobrze im było z sobą. Byli tak zajęci rozmową, że Halina nie zwracała uwagi na drogę. Dopiero gdy wjeżdżali na wzgórze — zamilkła. Oczom nie chciała wierzyć. Popołudniowe czerwone słońce rzucało światło na jasny dom.

Zdumiona patrzyła.

Wyszeptała wreszcie:

— Dla kogo zbudowałeś willę?

Pochylił się, objął ją delikatnie i pocałował w usta. Całkiem po prostu. Potem usłyszała ciche słowa:

— Dom zbudowałem dla ciebie — przerwał i już głośniej dodał — dom jest nasz.

W milczeniu podali sobie dłonie.

— Plan wykonałem, tylko nie wiem czyj. Twój? czy mój?

Z GADEK GÓRALSKICH

BÓL

Zatęsknił Jędrek Styrcula za górami, za swoimi! Toż prawie całe dwa lata był poza domem we świecie na robotach i oto teraz powraca do swojej wsi rodzinnej, do Głodówki.

Żeby nie ta długa choroba i wydatki na szpital i leki — uciułałby więcej grosza, ale i to, z czym wraca — ma swoją wartość: poreperuje chałupę i płoty na obejściu, dokupi statku, a może i ten sporny kawałek gruntu, co tej wej przylega do jego miedzy, a o ftory ciągłe jeno zwady i prawociny za sąsiadem...

I na samą myśl o powrocie do wsi, o zielonej łące, o zapachu świeżo zoranej skiby — uśmiecha się chłop do siebie. Jakaś słoneczna radość przepełnia jego serce.

Co mu tam dzisiok z tego haj!, ze mioł niezłą pracę we fabryce; ze se nieroz lepiyj pojod, niz u siebie w domu, lebo ze dziewcenciskom miejskim śmioły sie rozkosznie ocy do tyk jego cyfrowanyk parzenic na portak i do pieknej biołej cuhy, w którą przyodziewał sie idąc w niedziele do kościoła?!?...

A toz powraco stękniony do swojej ślubnej, prawowitej baby, do swej Maryny!... Młodą ostawiył. W miesopust sie pobrali... Izbe jak roz zacon stawiać. Teroz jom dokońcy...

Życie nie na jeden dzień!

— — — — — — — — — — — —

A oto już i wieś za pogórkiem. Koralowe słońce chyli się w zachodzie, kieby drogi kamień w złotej oprawie promieni. Ostatnie blaski drżą i gasną powoli nad ubocom i smrecynowym lasem. Idzie nocka — zaduma ze srebrnym miesionckiem, w chuście z mgieł zwiewnych — wiośnanych i migotliwyk cieni...

Już minom chłop przydrożną Figurę, przeżegnoł sie nabożnie krziżem świentym, i dopod furty, co stała otworem...

— Pokwalony!

— Jędrek! o raty!!!

Maryna porwała sie od grul. Wywróciła w pośpiechu kosałkę, wywróciła garnek. Woda polała się strugą po podłodze.

— Toś ty? — O, raty, — powtórzyła. — A padali, co... nie zyjes!... Żeś w szpitolu...

Tu urwała, zbladła, zakryła oczy fartuchem i zaszlochała cicho... boleśnie!...

Zrozumiał.

— Eh, Maryna — syknął przez zęby i mimowoli zacisnęły mu się pięście. Lecz tejże samej chwili zmiękło mu serce, przepełnione po brzegi tęsknotą, i pożałował tego odruchu, uniesienia...

— Pójdź ku mnie! — szepnął przymilnie i wyciągnął ręce.

Usunęła mu się do stóp zmięta, jakby skopana tą jego litością.

— Cyjez? — zagadnon po kwilce.

— ... Walkowe... z ubocy...

— Cichaj! nie buc!... daj spokój! — rwało mu się z piersi. Coś, jakby zawód, jakby żal okrutny na chwilę gardziel zdusił, ale się przemógł i uśmiechnon nawet.

— Chłopiec?

— Ta... chłopiec! — odparła głucho, bezdźwięcznie.

— Wstań Maryś! Przez chłopa — babie tyz nieroz ciężko, nie lekko! — dodał już spokojnie i zdziwił się sam sobie, że go gdzieś precz złość odeszła.

— Jędruś!... Jędruś! jakiś ty dobry!!!...— skomlała mu u nóg.

— No wstań — nie buc telo!... Niegze ta... Słysys?!... Dziecko sie dre!...

— — — — — — — — — — — —

I jak przyseł Styrcula do wsi, tak zaroz wrócił nazad do miasta, aby w pracy i w oddaleniu — zapomnieć o zdeptanych uczuciach i o tęsknocie co wypełniała jego serce, a nie znalazła oddźwięku i zrozumienia...

KIE PONIEZUS PO ŚWIECIE CHODZIŁ...

Zył se w Rafacówkach pod Tatrami jeden górol. Nie beem ci godać, jako sie pisoł, bo go i tak nie znos. Nic sie mu juz przy gazdówce nie wiedlo.

Roz przyseł do niego jakisi wędrowny i pytoł przenocować. Hłopisko bęło dość litościwe, i pozwolyło sie podróżnemu wyspać na bojsku we słomie, bo ani wiys, co ta taki moze zrobić, jakbyś go w izbie nocowoł...

Ale w nocy wziyna gazde ciekawość zajrzyć, co tyz ta tyn wędrowny robi?!...

— Raty, przeraty! Co on uwidzioł: Słoma het kajsi znikła, pielgrzym w wielkiej jasności społ, a janioły go pilnowały. W ty razy górol poznoł, ze nocuje Nowyzsego Gazde, Pana Boga! Upod więc na kolana i straśnie gorąco dziękowoł Bogu, co nie pogardziył jego nędznom chałupom. Przeprosoł Go tyz, ze Go tak w bojsku ułozył!...

— E, kiedy to on raniyj wiedzioł, tobi Poniezusa na nopiykniejsyj pościeli ułozył...

Ale Poniezus nie gniwoł sie nawet, uśmiechnon sie i błogosławił hłopu.

No i odtela gazdówka sie mu polepsyła!

E. Kłon.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Reporter w opałach

J. W.

— Panie doktorze, to co panu powiem, nie jest wytworem chorej wyobraźni. Nie byłem i nie jestem wariatem... Jestem reporterem... Naczelny redaktor, a mój przyjaciel Benton, dał mi zlecenie poufne, abym udając wariata, wślizgnął się do waszego zakładu i zbadał stosunki wewnętrzne, gdyż otrzymał informacje, że tu nie wszystko w porządeczku. Przy sposobności miło mi stwierdzić, że to zwykła plotka. Dostawszy się tutaj, udawałem oczywiście stuprocentowego wariata z tak dobrym skutkiem, że dr Lewison kazał mnie zamknąć w klatce dla furiatów. Dozorcy chcieli mi zaaplikować natychmiast zimny tusz na głowę, ale wzięli się do tego w sposób tak bezwzględny, że krzynkę ich poturbowałem, a na deser oblałem ich zimną wodą. Obawiam się teraz, że będą się chcieli mścić na mnie, dlatego też proszę pana, doktorze, o opiekę i interwencję. Przyrzekam też panu, że jak mnie wypuścicie do domu, nie napiszę złego słówka o pańskim zakładzie.

— Dziwna historia... Muszę panu przyznać, że brzmi to wszystko dość nieprawdopodobnie — rzekł lekarz po chwili milczenia — i na razie nie jestem pewny, że jest pan zdrowy. Muszę to wszystko sprawdzić. Nie przypuszcza pan bowiem chyba, że dozorcy nagle zwariowali.

— To bardzo możliwe — zgodził się reporter Fred. — Dlaczegóżby mnie szarpali bez powodu?

— Trudna sprawa, trudna — rzecze doktor. — Będę musiał wziąć pana jutro na badanie.

— Jakie badanie? — wykrzyknął zalękniony dziennikarz.

— Wirowe, mojego własnego systemu. Wyjmuje się mózg z głowy chorego i kładzie do wirówki obrotowej. Wirówka obraca się z niesłychaną szybkością i jeżeli w mózgu jest obłęd, to wyjdzie on na zewnątrz, a wówczas obcina się go nożyczkami, a mózg wkłada się z powrotem do głowy pacjenta, który od tej chwili jest zupełnie zdrowy.

Fred patrzył na doktora w niemym przerażeniu . . .

— Przepraszam pana, muszę odejść, zapomniałem jednej rzeczy! — zawołał wreszcie i szybko umknął w głąb korytarza, aby się znaleźć jak najdalej od niebezpiecznego lekarza. Na zakręcie natknął się na znienawidzonego Lewisona.

— A dokąd to aniołeczku tak spieszysz? — zapytał go słodko lekarz.

— Pilnuj pan swego nosa! — mruknął Fred, zaciskając pięści.



— Znowuż z tym nosem? Co u licha cierpisz pan do mego nosa? — zdziwił się Lewison.

— Zejdź mi pan z drogi, bo dostaniesz po nosie! — krzyknął reporter nie panując nad sobą.

— Ależ ten człowiek ma bzika na punkcie nosów! Hej, chłopcy, bierzcie go do klatki!

I nim Fred się spostrzegł, dwaj silni dozorcy schwycili go z tyłu za ręce i powlekli do klatki, gdzie został przywitany triumfalnym wyciem wariatów. Pobici poprzednio dozorcy pomścili teraz na nim swoją hańbę. Dobrali sobie tęgich pomocników i stłukli go ile wlazło, zapakowali w kaftan bezpieczeństwa i trzymali pod zimnym prysznicem przez okrągłe 15 minut, aż przyrzekł, że odtąd będzie się zachowywał wzorowo. Jednak za karę musiał spędzić całą noc w ciasno zasznurowanym kaftanie, przywiązany sznurami do czterech rogów klatki.

W południe lekarze obchodzili klatki z chorymi. Rozczochrany i posiniaczony, z pałającymi oczami Fred, stanowił przepyszny okaz wariata, to też lekarz naczelny przeszedł przed jego klatką, wzruszywszy jedynie ramionami na jego błagania.

— Panie doktorze, zlituj się pan i ratuj! Przecież nie jestem wariatem.

— Naturalnie, że nie, kto to mówi? Jest pan osłabiony i musi pan pozostać u nas na dłuższej kuracji.

— Ależ ja jestem najzupełniej zdrowy! — zawołał rozpaczliwie Fred.

— Ba, to każdy tak mówi — odparł naczelny.

— Pan nawet nie wie, szefie, z kim pan ma zaszczyt mówić — wtrącił złośliwie uśmiechnięty Lewison. — To przecież cesarz rosyjski i poeta Byron w jednej osobie. Ponadto prorok, Napoleon, Scypio Afrykański Młodszy i Bóg wie kto. Odznacza się zamiłowaniem do boksu i dziwną niechęcią do nosów. Charakterystyczną cechą jego choroby jest ciągła zmiana osobowości. Teraz ubrdało mu się, że jest reporterem . . .

— Ależ ludzie, toć przecież u was można doprawdy zwariować! Jestem naprawdę reporterem i mam misję zbadania stosunków w tym zakładzie. Najlepiej to mogłem uczynić, udając wariata, ale obecnie mam tego dość i chcę natychmiast wyjść na świat.

— Ba, ba! To by każdy chciał — roześmiał się Lewison. — I na wolności obcinałbyś pan ludziom nosy, jak to ze mną chciałeś uczynić.

— Proszę mi podać rękę — rzekł naczelny — chcę zobaczyć puls.

— Panie szefie, ostrożnie! Odgryzie panu nos. To specjalista od nosów.

Fred wyciągnął rękę poprzez kraty. Naczelny ujął ją śmiało i liczył puls, patrząc na zegarek.

— Hm, puls wzmożony, tętno nierówne . . .

— To ze zdenerwowania. Gdyby pana wsadzono do klatki, oplątano kaftanem i zlewano porządnie wodą, to i panu tętna chodziłyby jak w maszynie. Błagam pana, niech pan zadzwoni do redaktora Bentona i zapyta go o mnie. Potwierdzi, że to była rzecz ułożona między nami dla zdobycia ciekawego materiału dla pisma. Miał po mnie przyjść po paru dniach, jednak się nie zjawił. Nie wiem co to znaczy.

— Dziwne — ma pan w głosie i w oczach przebłyski rozumu, a jednak jestem przekonany, że to wszystko majaczenia chorego. Ostatecznie mogę zatelefonować.

Po długiej jak wieczność chwili naczelny powrócił z ironicznym uśmiechem, oznajmiając, że redaktor Benton wyjechał z miasta na parę dni. Poczem spytał: — No i jak pan teraz wygląda? — panie reporterze. Co pan na to?

Fred wydał okrzyk rozpaczy.

— Wyjechał? To... to... to do niego podobne! Zestawił mnie łajdak w szpitalu i zapomniał o mnie! Co ja teraz zrobię?

— Rozmawiałem z jego zastępcą Gummingsem. Przejął się tym, że pan jest w zakładzie i zaraz tu przyjdzie — rzekł lekarz, widząc, że Fred był po prostu zdruzgotany.

*

Redaktor Gummings przyjechał niezmiernie strapiony i zasmucony:

— Biedny chłopak — mówił — taki zdolny dziennikarz. Do niedawna był normalny, co mu się mogło stać? — pytał lekarzy, dążąc z nimi do klatki Freda.

— Obłęd na tle wielkości. Wyszedł na ławkę w publicznym miejscu i wykrzykiwał, że jest prorokiem. Potem mianował się Napoleonem, szatanem itd. Chce także odgryzać ludziom nosy. Nie podchodź pan do niego za blisko, bo o nieszczęście nie trudno...

Fred ujrzawszy redaktora, wpadł w dobry humor.

— Kogo widzę?

— Biedny, biedny Fredzie, takie nieszczęście, taki dopust Boży — ubolewał stary dziennikarz, trzymając się przezornie z daleka od klatki. — Od czego ci się to stało? Jakiś atak nerwowy, albo wstrząs... Czy mnie poznajesz?

— Do licha, dlaczegóż nie miałbym pana poznać? Kto zna ten fioletowy, pijacki nochal tak jak ja, ten nie może się pomylić.

— Nos, znowu nos! Niech pan uważa na nos! — ostrzegł Lewison, wskutek czego redaktor cofnął się trwożliwie o krok.

— Zaświadcz pan o mnie, panie Gummings, że jestem zdrów i niech mnie stąd wypuszczą, bo czuję, że jeżeli tu będę dłużej siedział, to wpadnę w furię i zdemoluję cały lokal.

Redaktor cofnął się z przerażeniem i rzekł: — O, mój Boże, Fred! Jak możesz wymagać, żebym brał na siebie tak wielką odpowiedzialność. A jak po wyjściu stąd dostaniesz ataku i zdemolujesz całą redakcję? Nie, ja tego nie mogę zrobić, Bóg widzi, że nie mogę... Poczem zwracając się w stronę lekarzy — kończył: — Właściwie jeżeli spojrzę na całe jego zachowanie się w redakcji, to jednak muszę dojść do wniosku, że człowiek ten zawsze miał bzika Wcale mnie też nie dziwi, żeście go panowie zamknęli. Żegnaj tedy Fred, będziemy cię odwiedzali co tydzień, jeżeli będziesz spokojny.

— Powieś się Gummings za swoją życzliwość. Wolałbym ja ciebie odwiedzać na cmentarzu, — zawołał rozżalony Fred, rzucając się na materac. — Uważają wszyscy człowieka za wariata tylko dlatego, że siedzi między wariatami. To okropne. Obawiam się, że naprawdę zwariuję...

*

Parę dni później zjawił się tak długo oczekiwany Benton i podszedł szybkim krokiem do klatki.

— Fred, Fred, bój się Boga, co ty wyprawiasz? Podobnoś naprawdę zwariował i odgrażałeś się, że zdemolujesz redakcję i podpalisz cały gmach. Czy to prawda? Wszyscy w kółko trzeszczą mi w uszy, że masz bzika i doprawdy boję się wypuszczać cię na wolność. A kto wie, czy nie rzucisz się na mnie i nie odgryziesz mi nosa, jak mnie przed tym ostrzegał dr Lewison.

— Ja tobie? Mojemu najlepszemu przyjacielowi? — zawołał Fred podejrzanie słodkim głosem. — To wszystko są niecne plotki, jestem najzupełniej normalny.

— Więc w porządku. Panowie, proszę tedy wypuścić mego współpracownika.

I wkrótce po podpisaniu zobowiązania przez Bentona, że bierze on za chorego odpowiedzialność, opuścili obydwaj złowrogi dom.

— Uff! Jak łatwo zostać wariatem, a jak trudno normalnym człowiekiem, westchnął Fred za bramą.

Równocześnie postanowił odpłacić Bentonowi pięknym za nadobne, bo wszak on spowodował jego poniewierkę przez wariacki pomysł i w tym celu zaprosił go do swego mieszkania. Gdy już porządnie pojedli i popili, reporter usiadł naprzeciwko gościa i rzekł:

— A teraz porozmawiajmy. Ile mi chcesz dać procent za ten cały interes?

— Chciałem ci dać dziesięć, ale dam dwadzieścia, boś się porządnie namęczył.

— Dobrze. Ja ci chciałem dać dziesięć, ale dam dwadzieścia, boś tego wart bracie!

— Czego jestem wart? — spytał zaniepokojony redaktor.

— Batów! — odparł krótko Fred, zakasując rękawy. Dam ci połowę tego co sam wyfasowałem od dozorców w szpitalu.

— Bój się Boga, Fred, tyś naprawdę zwariował! — zawołał ze strachem Benton, uskakując pod ścianę.

— Zwariowałem, żem ciebie słuchał i zgodził się na ten idiotyzm. Teraz swój błąd naprawię. Broń się, bo ja się też broniłem. To rzekłszy reporter, z radością w sercu przystąpił do systematycznego obijania swego szefa. Redaktor



bronił się słabo, piszcząc jak histeryczka. Fred zaś używał całą duszą, bijąc weń jak w bęben . . .

— Dość — osądził, uważnie przyglądając się swej chlipiącej ofierze.

— Po-pożałujesz tego — groził cieniutkim głosem redaktor. — Daj mi wo-wody!

— Dostaniesz w łazience ile tylko zechcesz. Chodź synku!

Benton przekonany, że Fred uczyni zadość jego życzeniu, poszedł za nim posłusznie, ale przykro się zdziwił, gdy nieludzki gospodarz gwałtem mu wsadził głowę pod zimny strumień wody.

— Pięć minut z zegarkiem w ręce — oświadczył Fred, trzymając go stalowymi rękami nad wanną, podczas gdy Benton z krzykiem zarzynanego prosiaka wyrywał się i walił na oślep pięściami.

Po orzeźwiającym „kompresiku" Fred skrępował redaktora pluszową serwetą zerwaną ze stołu i pookręcał sznurami i ręcznikami, a wreszcie związanego w kłębek zostawił na podłodze, odchodząc w stronę pokoju.

— Fred, czy ty nie masz serca, — jęczał Benton, ściśnięty sznurami jak szynka w pęcherzu.

— Poleżysz tak bracie przez całą noc, podobnie jak i ja. Zobaczysz, jak to przyjemnie . . .

Gdy zaświtał blady ranek, jęki Bentona zbudziły Freda: — Fred, Fred, zlituj się, ja już dłużej nie wytrzymam.

Reporter wstał z łóżka i rozwiązał skostniałego naczelnego, mówiąc: — Biedaku, przykro mi, że cię tak oporządziłem, ale to cię oduczy od realizowania głupich pomysłów.

Obydwaj niedawni przyjaciele mierzyli się przez chwilę oczami, wreszcie redaktor z wahaniem wyciągnął rękę.

— Wiesz co Fred? Daj łapę i bądźmy nadal przyjaciółmi. Ty będziesz prowadził za mnie pismo. Ja się widocznie nie nadaję do tego.



— Zacny chłop z ciebie Bentonie, choć masz czasem narwane pomysły. Daj pyska i zapomnijmy o tym, co było. Zobaczysz, że za kilka miesięcy potroimy nakład . . .

Gdy na drugi dzień Fred zjawił się w redakcji, wszyscy zakreślali za jego plecami kółeczka na czołach i trzymali się w przyzwoitej odległości. Zwłaszcza Gummings wyraźnie usuwał się przed nim i zjadliwie docinał. Nagle do sali wszedł Benton i wśród ciszy zaległej rzekł:

— Panowie! Od dnia dzisiejszego naczelnym redaktorem i dyrektorem naszego pisma zostaje . . . — Gummings się wyprostował . . .

— Zostaje Rogers Fred — dokończył Benton.

Gummings padł na fotel spiorunowany.

— Te . . . te . . . ten wariat? A byłem pewny, że to ja!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Dokończenie ze str. 3

w nich też wygrzebał mieszkaniec Honan'u swe schronienia, nie pragnąc innych pomieszczeń ni dla rodziny ni dla dobytku. W lecie darzą one miłym chłodem, zimową porą ciepło w nich i zacisznie. Od pokoleń tak było i do dnia dzisiejszego tak pozostało.

Wody rzeki Hoangho są dobrodziejstwem prowincji, jako najważniejsza arteria komunikacyjno-handlowa Honan'u. Są losem, są złym i dobrym Honańczyków. Niby Nil w Egipcie pustoszy wylewami wiosennymi szeroko wszystko w koło i pociąga liczne ofiary w ludziach i zwierzętach hodowlanych. Z drugiej strony niesie żyzny ił, nawadnia pola, umożliwia tym samym rolnictwo w tym wyżynnym „zakątku" Chin.

Osiedla Honan'u są tak starymi, że chyba żadne w szerokim świecie nie są od nich wcześniejszymi. Wymienić tu wypada oprócz wspomnianych już Tscheng-tschau i Loyang jeszcze Kaifeng. Są one składnicami towarów, centrami handlowymi i arsenałami broni. Loyang bywa zwykle zaszczycanym miejscem letniego pobytu cesarzy chińskich, bywa od bardzo dawnych czasów periodyczną prywatną rezydencją dworu panującego. Tutaj to przebywał Tschiangkaischek przed druzgocącymi ciosami Japończyków, stąd wydawał rozkazy, zanim przeniósł po odyssei Nankingu swą siedzibę do Tschungking'u.

Zdobycie Honan'u jest wielkim wydarzeniem w japońskiej kampanii chińskiej i ważnym preludium do mających nastąpić przemian w Chinach.

Straty Honan'u nie powetuje Tschungking nigdzie. Znaczenie, jakie rząd japoński przypisał zawładnięciu Honan'em wyraża się dobitnie w mianowaniu głównodowodzącego armią w Chinach generała Schunroka-Hata marszałkiem polnym.

Z ESTRADY

KONCERT WOKALNY

Nas — stałych bywalców wszelkich imprez muzycznych i teatralnych — sobotni koncert wokalny w Niebieskiej sali Filharmonii—zadziwiał niezwykle odmienną atmosferą.

Od początku do końca nie mogliśmy oprzeć się wrażeniu, że znajdujemy się wśród grona familijnych adoratorów na wokalnym popisie krewniaków.

Reakcja publiczności — składającej się w lwiej części z młodzieży — zadziwiająco swobodna. Twarze, których nie widuje się na oficjalnych koncertach. Oklaski ,okrzyki „bis" a nawet nawoływania pod adresem koncertantów — padały zbyt obficie; w wielu wypadkach nie w porę, a tym samym i nie „na miejscu".

Skromne wiązanki kwiatów wręczano zbyt często.

No... i sami koncertanci również czuli się bardzo swobodnie: pogwarki na estradzie z akompaniatorką, wielokrotne podchodzenie do pulpitu fortepianu oraz wskazywanie palcami nut itp.

Wykonawcami koncertu byli dwa młodzi krakowscy śpiewacy-debiutanci: Józef Prząda i Leszek Chobot.

J. Prząda dysponuje bardzo miłym tenorem, o czystym brzmieniu i średniej skali. Z obfitego programu, przygotowanego starannie, wywiązał się nadspodziewanie. Forma podania arii operowych i pieśni zupełnie dobra. Na podkreślenie zasługuje poprawne odśpiewanie dwóch arii z „Pajaców" Leoncavalla (Serenada Arlekina i Śmiej się pajacu) oraz arii z „Rigoletta" Verdiego (La donna e mobile).

Najsłabszym jednak punktem jego organu głosowego jest przechodzenie z jednego timbre w drugie, które odbywa się jeszcze z wyraźnym trudem.

Leszek Chobot posiada bardzo ładny — dziś jeszcze surowy — materiał głosowy. Jego baryton ma głębię, wyraźną siłę i miłe brzmienie. Sama interpretacja pieśni bez głębszego wnikania w treść.

Wybitnie tenorowa aria Stefana ze „Strasznego dworu" Moniuszki — transponowana na baryton — wypadła bez efektu. Również słabo wypadła bas-barytonowa aria „Ten zegar" ze „Strasznego dworu" Moniuszki, gdyż niezbędne w wielu miejscach głębokie odcienie basowe — wypadły „anemicznie" w interpretacji Chobota.

Nie radzimy młodemu śpiewakowi podejmowania się w przyszłości tego rodzaju eksperymentów.

Natomiast dwie trudne arie z „Wesela Figara" Mozarta oraz arię Stanisława z „Verbum Nobile" Moniuszki odśpiewano zupełnie dobrze.

Akompaniament p. M. Czyżekowej bardzo staranny i wnikliwy przyczynił się znacznej mierze do ogólnego sukcesu.

Reasumując nasze wrażenia z koncertu, który, poza wymienionymi usterkami, stał na poziomie — nie możemy debiutantom negować ich rzetelnego talentu i młodzieńczego zapału, jak również absolutnie nie możemy pogodzić się z epitetem „wybitni artyści", jaki przyklejono im w prasie codziennej.

Paliwoda-Matiolański

KĄCIK KARYKATURZYSTY



NOWOCZESNE ŻONY

— Miałam wczoraj pecha! Wyobraź sobie — wzięłam wczoraj zamiast płatków owsianych płatki mydlane, zrobiłam z nich budyń i mój mąż zjadł go.

— No i co?

— A no, po prostu pienił się ze złości...

Rys. J. Paluch — Kraków

Anulko, dlaczego nie wołałaś o pomoc, gdy kapral Morus cię całował?

— A czy mama sądzi, że żołnierz potrzebuje pomocy?

*

Stasia śpiewa codziennie po kilka godzin przy otwartym oknie. Naprzeciw jej okien zaczęto budowę nowego domu. Pewnego dnia, gdy wyciągała swe trele podszedł do niej budowniczy, ukłonił się grzecznie i powiedział:

— Pani jest bardzo utalentowaną śpiewaczką.

— To tak bardzo się panu mój głos podoba?

— Jeszcze jak, ale proszę tych wysokich tonów tak długo nie ciągnąć.

— Dlczego proszę pana?

— Bo, wie pani, — budowniczy podrapał się w głowę z zakłopotaniem — bo wie pani, robotnicy przerywają wtedy pracę sądząc, że to syrena gwiżdże na przerwę obiadową.



— Proszę, oto mój wynalazek. Tak sobie poradziłem by nie mieć dziur w skarpetkach.

Wiener Illustrierte

Karol mówi: — Panno Lolu, jeżeli pani nie wysłucha mojej prośby, nigdy w życiu nie będę mógł pokochać innej kobiety.

— Hm, — odpowiada na to chłodno Lola, — ale jeżelibym wysłuchała pana prośbę, to wtedy dopiero naprawdę nie będzie panu wolno kochać innej.

*

Córeczka państwa N siedzi przy fortepianie i gra swe fantazje. Dumna z niej mama zapytuje gościa:

— Czy pan jest muzykalny?

— Niestety, łaskawa pani, — odpowiada gość ze zbolałą miną.

*

Mały Tadzio mówi raz do swej ciotki:

— Ciociu, tatuś powiedział, że na całym świecie nie ma drugiej kobiety takiej jak ty.

— O, to bardzo ładnie ze strony tatusia.

— Tak, ale dodał jeszcze przy tym, że to całe szczęście.

*

Pod wpływem ciepła przedmioty się rozszerzają a pod wpływem zimna kurczą — objaśnia nauczycielka dzieciom w szkole — Podajcie mi teraz przykład na to.

Zgłasza się Władzio: — Wakacje — mówi.

— Wakacje? — dziwi się nauczycielka.

— Tak — odpowiada Władzio — w lecie trwają dwa miesiące, a w zimie tylko miesiąc.

*

Nauczyciel: — Twoje zachowanie się w szkole jest okropne, Karolu. Jak sądzisz, dlaczego twój ojciec posyła cię do szkoły?

Uczeń: — Bo chce mieć w domu spokój.

*

Edward tak namiętnie ściska Zuzię, że aż wszystkie sprężyny sofy trzeszczą.

— Och, ty moja najdroższa — wykrzykuje w uniesieniu. — Już niedługo będą do mnie należeć twe turkusowe oczka, twoje jedwabiste włoski, twe usteczka różane i twoje wspaniałe ząbki, które piękniejsze są niż perły. O uśmiechnij się, żebym mógł się im napatrzyć.

Wtedy spoza sofy rozlega się głos małego braciszka Zuzi:

— Zuziu wyjmij je z ust i podaj mu skoro tak bardzo chce się im przyglądnąć.

*

Józef chciał pokazać jednemu ze swych znajomych tresurę swego jamnika.

— Gdy tylko zagwiżdżę, zaraz do mnie przyjdzie.

Józef gwiżdże. Pies jednak nie przychodzi.

Przyjaciel się dziwi: — Ej, coś nie bardzo cię ten pies słucha.

— Tak, bo to był dopiero jeden z takich wstępnych gwizdów.

— A po którym gwizdaniu przyjdzie?

— Zwykle po ostatnim.

*

— Czy pani również się tak zachwyca przyrodą jak ja? panno Kasiu?

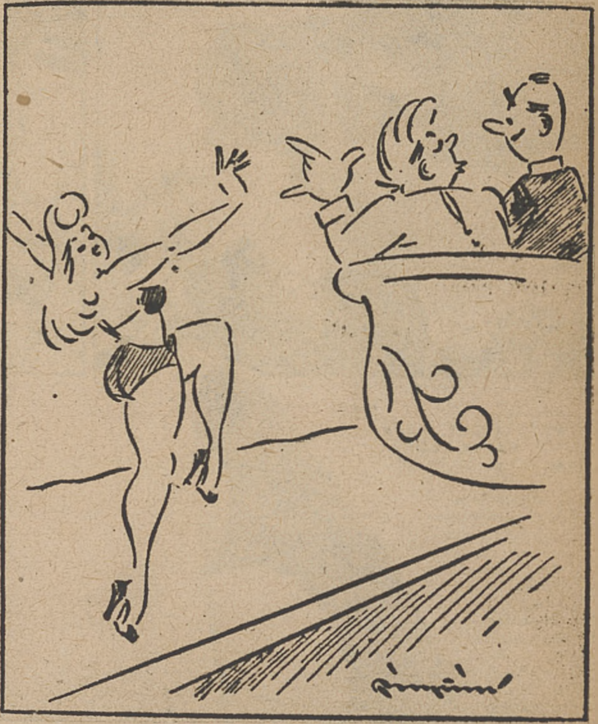
— Owszem, ale pan nie powinien zapominać przy całym swym zachwycaniu się przyrodą, że i ja tu także jestem.

*

Tecia kupiła jeden tulipan. Ogrodnik żąda za kwiatek jednego złotego. Tecia przygląda się kwiatkowi i mówi: — Mógłby pan dodać mi przynajmniej jeszcze jedną cebulkę tulipanową.

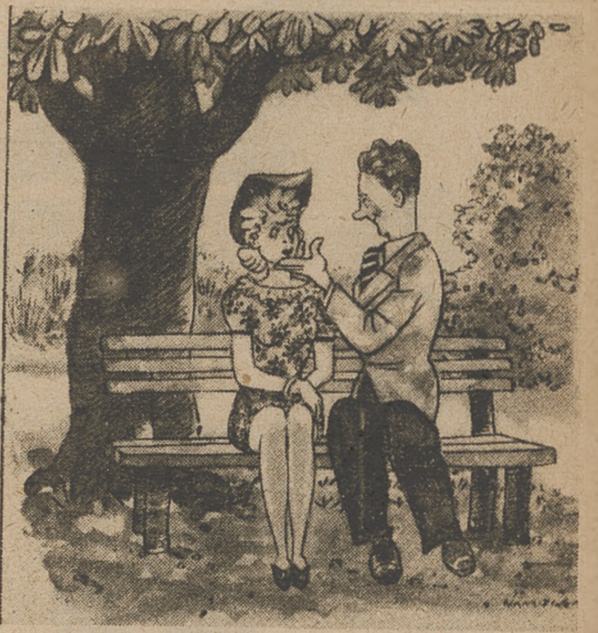
Na to ogrodnik odpowiada:

— Oczywiście moja panienko. A może jeszcze ogród, w którym ten kwiatek rósł i dom, który w tym ogrodzie stał na dodatek?



— Widocznie bardzo marnie płacą w teatrze, bo już trzeci rok oglądam jak ona tu tańczy i jeszcze jest goła...

Die Grüne Post

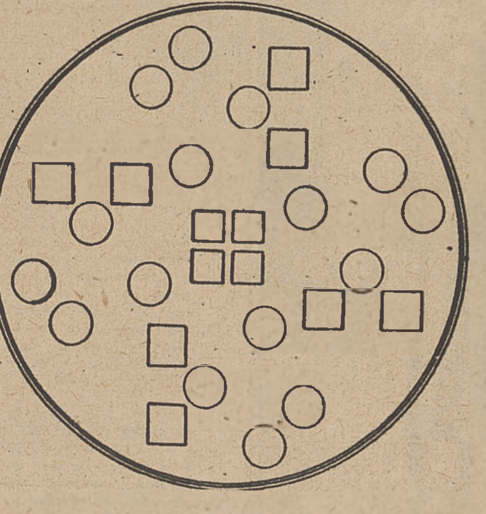


— Dlaczego Pan tak ustawicznie głaszcze mnie pod brodą? Czy chce pan mnie zahypnotyzować, czy ugłaskać przed zamierzonym atakiem?

Rys: Tüsser

ROZRYWKI UMYSŁOWE

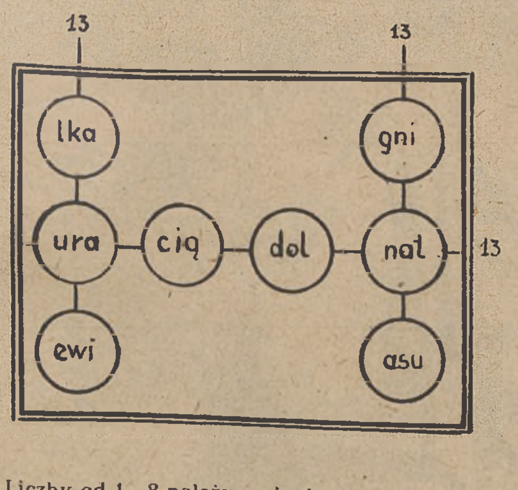
PROBLEM PODZIAŁU



Powyższą figurę należy podzielić na cztery równe części, z tym aby w każdej części znajdowały się cztery pierścienie i trzy kwadraty.

GRA LICZB

ul: As



Liczby od 1—8 należy wpisać w koła tak, by każda z trzech prostych w sumie dała liczbę 13. Jest kilka rozwiązań możliwych. Wśród nich należy wyszukać to, przy którym litery umieszczone w kołach czytane tak jak następują cyfry liczb wynalezionych przez nas dadzą znane przysłowie.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR 26

SKRZYNIA Z KULAMI

Włożył skrzynię do rzeki płynącej tuż u jego stóp i woda spłókała trociny.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Wypłucz te kawałki ryb, Marysiu, zanim zaczniesz je smażyć.

— Wypłukać? A po co proszę pani, przecież one dość długo już mokły w wodzie.

*

— Może pan skosztuje te wspaniałe winogrona?

— Bardzo dziękuję, łaskawa pani, ale nigdy jeszcze nie piłem wina w pigułkach.

*

W pewnym towarzystwie znajdował się podróżnik, który zwiedził kawał świata, a między innymi krajami również Indie i opowiadał zebranym niezwykłe przygody, w których brał udział.

— . . . i mówię państwu, raz wczesnym rankiem, zaledwie brzask się zaczął robić w pydżamie ubiłem tygrysa.

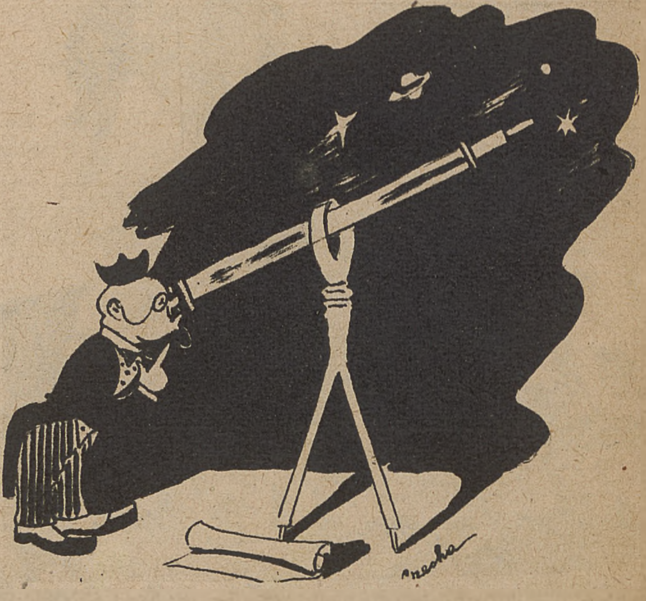
Jeden z panów dziwi się mocno: — Co pan powiada, to ten tygrys nosił pydżamę?

*

— Mój mąż mawiał jeszcze przed ślubem, że prędzej się nie ożeni, aż nie znajdzie prawdziwie mądrej żony.

— A skąd wiedział, że ty nią jesteś?

— Ja mu to powiedziałam.



ZAZDROSNY ASTRONOM

— Jakby tu przeszkodzić spotkaniu Marsa z Wenus?

Rys: Czechs

Gdy w dżungli pada deszcz

W czarach lata i powabach wyzłoconej s... neczną jaśnią natury śnimy swój sen radości życia oczarowani pięknem otaczającym nas zewsząd. Opuszczamy na kilkadziesiąt dni duszne mury miasta, oddając się swobodzie i prostocie pędzenia chwil pośród pól i łąk, lasów i ruczajów. Westchnienia nasze streszczamy wówczas tylko i jedynie chyba wyłącznie w słowach: „ach, bodaj dopisała pogoda, byle nie było deszczu!" I tak mówimy wszysey bez wyjątku tu, w naszym klimacie, nie znającym długotrwałych, piekielnych spiekot ni huraganowych nawałnic z przerażającymi, katastrofalnymi często ulewami. Przenieśmy się myślą do tropikalnych krajów i zobaczmy, jak tam wygląda „taka historia" meteorologiczna... Południe. Na odległym horyzoncie zwolna szarzeje niebo i przyćmiewa się blask rozpalonej kuli słonecznej. W powietrzu zawisa martwa cisza... Czas mija niby senny, znużony. Daleko na widnokręgu podnoszą się czarne, olbrzymie chmury, kryją się ptaki i zwierzęta, czai się lęk. Spoglądamy na zegarek: godzina prawie 3-cia... Za pięć minut jeszcze zaczynają padać pierwsze, grube krople deszczu, ani odrobinę nie ochładzając niby żarem przesyconej atmosfery. Tubylcy szybko wkładają na głowy olbrzymie słomiane kapelusze z gumowym naciągiem, bo z tropikalnym deszczem nie ma żartów: „bije" solidnie! Rozpętana burza grzmi gromami i oślepia błyskawicami. Porywa się szaleńczy wicher, płyną strumienie wody, niosąc z sobą odłamy gałęzi, kamieni, zielska i krzewów. Na ścieżynach dziewiczej puszczy przeszkód co niemiara! Formalnie co krok, trzeba sobie mozolnie torować drogę. Biedni ci tragarze, posłańcy i „indios", czyli gońcy z ferm, zmuszeni do wędrówki w taki czas przez nawiedzone ulewą obszary! Robią sobie po prostu przykrycie z kolosalnych liści tropikalnych i modzie i zaradczości tamecznej staje się zadość. Nie trzeba bać się o zgubienie albo zapomnienie takiej peleryny-deszczochronu. Wokół tysiącami ma się ich pod ręką! Liście bananowe w egzotycznej puszczy, to też nie byle jakie okrycie w czas deszczowy. Raz, dwa, trzy —! Płaszcz „impregnowany" gotowy do użytku! Według miary! Pierwszorzędny fason! Czy malec, czy dorosły — nie ma pod tym względem żadnej różnicy. Każdy dźwiga stale swój płaszcz deszczowy na barkach przewieszony, starannie zwinięty i gotowy do użytku.







Powyżej: **EGZOTYCZNY PARASOL NADER EKONOMICZNY**
„Parasol" taki z ogromnego liścia egzotycznego drzewo-krzewu ma swe dobre strony jako zawsze do dostania, wygodny w użyciu, pewny w działaniu i... nic nie kosztujący!

Na prawo u góry: **„LEKCJA POGLĄDOWA" W PUSZCZY TROPIKALNEJ**
Osadnik zamieszkały na skraju gęszczów chętnie „zaznajamia" podróżujących z tajniami natury Południa.



Powyżej: **MODA „DESZCZOWA" W DZIEWICZEJ PUSZCZY**
Liście bananowe zadowalają tu najwybredniejsze gusta elegancji i praktyczności. Jako ochrona przed deszczem są tanie, mocne i bardzo wodoszczelne.



Na lewo: **NIEPOGODA W TROPIKALNYM MIEŚCIE**
Podobnie jak u nas, noszą te mieszkanki gorącego klimatu, przebywające w miastach — płaszcze i parasolki dostosowane do pory deszczowej. Pod tym względem w ucywilizowanych ośrodkach miejskich nie ma zdaje się różnicy na całym świecie.

Poniżej: **PASTERZ „GAUCHO" W OKRYCIU DESZCZOWYM**
Nie tylko siebie ale i konia osłania „gaucho" w deszcz wielkim, rozłożonym, a teraz tylko zwisającym mu z ramion płaszczem impregnowanym. Kapelusz posiada gumowy naciąg.



Obok: **NIE DROGO, A CELOWO**
Z daleka dążą nieraz na targ do miast w porze deszczowej przekupnie ze swym towarem. By go ochronić przed ulewami, okrywają swe brzemię plecioną z sitowia matą.

Fot: Boeck

Przekupnie mają ponadto sporządzone z sitowia maty w wymiarze 1—2 metrów, do okrywania towarów. Specjalną zazdrość budzą tam wszędzie „prawdziwe", a więc krawieckiej roboty płaszcze nieprzemakalne, i gdy któryś z tubylców dorwie w jakiś sposób taki wytwór „dobrego tonu" i szczyt swych marzeń, nie rozstaje się z nim ani nawet w czasie jedzenia czy spania. Podobnie ma się rzecz z „prawdziwym" parasolem. Jedni tylko nie respektują kanonów mody „deszczowej" dalekich tych ziem: całkiem małe bobaski, paradujące zupełnie nago i beztrosko wśród najgęstszego deszczu — nie muszące też dbać o „sprzęt deszczowy".